

Odszedł charakterny chłopak

TADEUSZ MICHROWSKI

Wojtek Sikora miał pewien fascynujący brak. Brak cechy, która sprawia, że człowiek dzieli świat na obozy – wspomnienie o zmarłym 4 sierpnia prezesie Fundacji Kultury Paryskiej (2013–2019) i członku kapituły Nagrody „Rzeczpospolitej” im. Jerzego Giedroycia.



Wojciech Sikora (1956-2022)

Kiedy kilka lat temu wchodziłem do skrytej wśród drzew willi „Kultura” w podparyskim Maisons-Laffitte, jej dyrektora Wojtka Sikory nie było. Stał dom-świątynia, sanktuarium „Kultury”, którego z początku nie sposób było traktować inaczej niż zespół niezwykłych ludzi, którzy w tej świątyni pracowali.

Żeby z „Kulturą” się oswoić potrzeba czasu. Nie pomagały symbole, na które człowiek natykał się na każdym kroku; skrzynię z Armii Andersa w piwnicy, stół z Hôtel Lambert w ogrodzie zimowym, którego historię człowiek poznawał, podnosząc zeń filiżankę kawy czy stojąc na półce pluszowy baranek... do przemycania mikrofilmów. Pomagały szczury z knajpy tuż obok, bo harcowały beztrudnie po trawniku – dając nadzieję, że skoro one mogą się nie przejmować to i ja.

Po jakimś czasie Wojtek – wtedy jeszcze pan Wojciech Sikora – przyjechał do instytutu, a niedługo później, co już zupełnie szalone, zaprosił mnie na wino rozlane do kieliszków właśnie przy stole z Hôtel Lambert. Nic dalej nie było przesadnie poważne, napuszone, ani snobistyczne.

Bez plemion

Wojtek Sikora miał pewien fascynujący brak. Brak cechy, która sprawia, że książki, ludzi, świat, człowiek dzieli

odruchowo na obozy, klasy, grupy. Był w tym naturalny i gdy opowiadał o dzieciństwie i młodości na Nowej Hucie, Bronka Wildsteina potrafił wymienić w jednym zdaniu z Mańkiem Pulitem, lokalnym chuliganem, jako równorzędne postaci tej akurat historii.

Mówił, że jest szczęściarzem, „urwipolciem, który wylądował w Laficie”. Z tego przekonania o uśmiechu losu,

”

Wzorem Jerzego Giedroycia prowadził niezwykle bogatą korespondencję z postaciami z całego świata

z braku zadęcia nad własną wyjątkowością mogła wyraść niebywała jak na taki życiorys pokora. Może również dlatego bezpretensjonalnie rozpił z dwudziestokilkuletnim autorem o niewielkim dorobku butelkę wina w ogrodzie zimowym siedziby „Kultury”, a niewiele później z powagą przyjmował tam oficjalną delegację.

Zachował w sobie charakternego chłopaka („w pierwszej piątce najczęściej aresz-

towanych w Nowej Hucie”, za działalność opozycyjną oczywiście!) i tę szczerą przenosił na kontakty z ludźmi. Już tego pierwszego wieczoru, kiedy byłem przekonany, że to po prostu jednorazowe spotkanie, forma uprzejmości, dał się poznać jako osoba żywo zainteresowana rozmówcą.

Chociaż zebrał wiele orderów i tytułów, jego osobowością nigdy nie był „dyrektor”. Wojtek nie szafował powagą „Kultury”, dużo później mogłem zobaczyć, jak unika ludzi, którzy próbują blaskiem honorów dodać sobie powagi, wpisać – siebie i jego – w jakieś plemię.

Życie jak kilka fabuł

Dla Wojtka nie było plemion, dwóch Polsk, była jedna. Zależało mu, by Polacy nie zamienili się „w Tutsi i Hutu”, jak mawiał. Z wieloletniej działalności wyniósł przyjaźnię z ludźmi z każdej ze stron barykady, a gdy ich wymieniał, zdawało się, że obecność tych nazwisk na jednej liście gwarantuje samozapłon. Ale nie przy Wojtku. Dążył do dialogu, pracował nad tym, by kraj nie rozstał się pod nogami, choć z bólem patrzył na spadek poziomu debaty.

Zgadzać się z nim było wspaniale, nie zgadzać – stymulująco. Wzorem Giedroycia prowadził bogatą korespondencję z postaciami z całego świata, kolekcjonował ciekawe uwagi, przerzucał je między znajomymi i myśli te

zataczały coraz szersze kręgi. Nie sposób byłoby odpłacić za życzliwość, którą okazywał mi, także w wymianie myśli.

O polityce, technologiach i społeczeństwie rozmawiało się z nim ciekawie, a najciekawiej o kulturze. Bo dyrektor „Kultury” zachwycał się i promował literaturę wysoką, ale w kolejce czytelniczej, obok T.S. Eliota i Saula Bellowa, miał też dobrą sensację, którą potrafił „wciągnąć” w dzień, cenil Ursulę Le Guin, pytał „fantastyka czy filozofia?” i prawie mimochodem dzielił się linkami do utworów Charliego Winstona.

Wojtka Sikory nie da się zamknąć w kilku akapitach. Frazesem jest napisać, że swoim życiorysem mógłby obdzielić kilka osób, tym bardziej że nikt chyba nie zna do końca całości. Ale jeśli wyobrazić sobie, że życie jest opowieścią, jakimś filmem, w którym oczekujemy spójnej, dającej się objąć umysłem fabuły, to Wojtek był bohaterem wielu z nich. Kolejnego niestety nie będzie.

Jest w domu w Maisons-Laffitte pewne zdjęcie. Przedstawia starszego mężczyznę, wsparty na lasce stoi w korytarzu. Po swojej lewej stronie ma biurko, w którym tworzył „Kulturę” i przepracował większość życia, naprzeciw – wejście do ogrodu zimowego, miejsca spotkań, odpoczynku i popołudniowych kaw. Z tego drugiego w obiektyw bije jasne światło i w kontraście sylwetka to ledwie cień, zarys. Jest w tej fo-

tografii niezwykła emocja, patrząc na nią, obserwator odruchowo próbuje zgadnąć, w którą stronę mężczyzna pójdzie. Odpocznie czy wróci do pracy. To jedno z ostatnich zdjęć Jerzego Giedroycia.

Lata poświęceń

Gdy był jeszcze dyrektorem Stowarzyszenia Instytutu Literackiego „Kultura”, Wojtek Sikora powiedział, że ma wrażenie, iż wyjdzie z niego tak jak wszyscy pozostali: „nogami do przodu”. Tak się nie stało. Związany potem z Instytutem mniej ściśle, Wojtek zastanawiał się, czy „jeszcze coś go czeka”, życzył sobie

kolejnego życiowego zakrętu, przygody. Tak musiało przecież być, bo trudno sobie wyobrazić inny scenariusz dla kogoś, kto mając sześćdziesiąt kilka lat w notatkach do życiorysu, pisał o sobie „urwipolce”.

Wojtek płacił jednak cenę za wiele lat poświęceń, a z ciężarami, które dźwigał, niełatwo tworzyć nowe początki. Szanse na te początki przepadły. Śladem Giedroycia odszedł, ale Wojtek odszedł za wcześniej. Kilka przygód jeszcze mu się należało. /©©

Autor jest publicystą i pisarzem. Wydał powieść „Gry w Yoté”, ma także w dorobku opowiadania, dramaty i scenariusze